

Okiem Obserwatora: Cud, że jeszcze żyjemy

11.12.2024, 10:05  Wersja do druku

„Cud, że jeszcze żyjemy” Thorntona Wildera w reż. Marcina Hyncnara w Teatrze Współczesnym w Warszawie. Pisze Krzysztof Stopczyk.



fot. Anna Orzyłowska / mat. teatru

Teatr Współczesny w Warszawie dał pierwszą premierę pod nową dyrekcją. Jak wiadomo, od początku tego sezonu szefem naczelnym jest Wojciech Malajkat, a jego zastępcą do spraw artystycznych Marcin Hyncnar. I właśnie on, wyszukał i zaproponował na inaugurację sztukę Thorntona Wildera „Cud, że jeszcze żyjemy”. Przyznaję się, że nie znałem jej, a jest niesamowita. Swoją prapremierę miała w 1942 roku, pod tytułem „The Skin of Our Teeth”, a wyreżyserował ją Elia Kazan. Biorąc pod uwagę czas jej powstania, można uznać, że jest w pewnym sensie profetyczna. Na początku lat czterdziestych ubiegłego stulecia, autor przewidział z jakimi problemami będzie zmagala się ludzkość np. osiem dekad później. Bo przecież obecne zmiany klimatyczne, fale uchodźców, czy zbrojne konflikty nie są jakimiś lokalnymi problemikami, tylko dotyczą całego globu. Tu i teraz.

Tak więc Hyncnar postanowił zbudować pomost między „dawnymi a nowymi laty”. W „Cud, że jeszcze żyjemy”, gra liczny zespół aktorski [czternaście osób], sztuka powstała ponad osiemdziesiąt lat temu, ale jak przystało na nazwę teatru, w którym odbyła się warszawska premiera, tematyka jest jak najbardziej współczesna.

Przedstawienie jest długie, bo trwa ponad trzy godziny – z dwoma przerwami i składa się z trzech aktów. Można przyjąć, że pomimo, iż występuje w nich ten sam zespół, są to trzy opowieści bardzo luźno ze sobą powiązane, które oprócz głównych bohaterów łączy jedna wspólna cecha – nadzieja w lepsze jutro. A nie ma co ukrywać, że jest to jedna z naczelnych cech ludzkości i nawet najwięksi defetyści, w Sylwestra potrafią sobie życzyć „wszystkiego najlepszego”.

Bardzo lubię sztuki Wildera. Odpowiada mi jego specyficzny humor, sarkazm i często występujący pure nonsense. Tak właśnie jest w inscenizacji wystawionej w Teatrze Współczesnym. Akcja dzieje się niby w czasach, w których żył autor, ale na scenie widzimy mamuta i dinozaura, a dla rozgrywających się wydarzeń fundamentalne znaczenie mają odniesienia klasyczne i biblijne (np. historia Kaina i Abla, czy porwanie Sabinek). Do tego dochodzi „przypadkowe” przerywanie spektaklu, zapalanie świateł na widowni i „prywatne” teksty aktorów między sobą, i z „reżyserem”, oraz „suflerem”, którzy pojawiają się na scenie, z egzemplarzami sztuki w rękach.

Prapremiera polska miała miejsce w 1956 roku, w Teatrze Narodowym, pod tytułem „Niewiele brakowało” [reż. Jerzy Rakowiecki]. Obecny tekst został na nowo przetłumaczony przez Bartosza Wierzbietę, dzięki temu język którym posługują się postacie na scenie, jest bliski naszym czasom i bardziej przyjazny współczesnemu odbiorcy.

Oczywiście nie mogę opisywać akcji, ale we wszystkich trzech częściach jest pięć wiodących postaci: Pani Antrobus – żona [Joanna Jeżewska]; Pan Antrobus – mąż [Mariusz Jakus]; Gladys – córka [Monika Pawlicka]; Henry– syn [Przemysław Kowalski]; Sabina – służąca [Barbara Wypych]. Są jeszcze dwie postacie grane przez Agnieszkę Suchorę, to E. Muza i bardzo ważna Wróżka. W pozostałych rolach występują: Monika Kwiatkowska [M. Muza, Cheerleaderka 1, Ivy]; Kinga Tabor [T. Muza, Cheerleaderka 2]; Piotr Bajor [Doktor, Delegat 4, Tremayne]; Konrad Braciak [Dinozaur]; Marcin Bubółka [Chłopiec z telegramem, Homer, Rykszarz, Asystent reżysera]; Dariusz Dobkowski [Sędzia, Delegat 1, Asystent radiowca, Bailey]; Mariusz Ostrowski [Fitzpatrick, Profesor, Delegat 2]; Szymon Roszak [Mamut, Delegat 3, Radiowiec].

Jak już wspomniałem spektakl składa się z trzech bardzo różniących się zarówno treścią, jak i formą części, więc można powiedzieć, że reżyser i zespół pracowali nad trzema jednoaktówkami. Przypuszczam, że każdy z widzów będzie miał swoje typy, ale pod względem treści i gry aktorskiej, najbardziej podobały mi się pierwsza i trzecia, chociaż są one totalnie różne jeżeli chodzi o nastrój. Natomiast środkowa jest wspaniałym pastiszem amerykańskiej kampanii wyborczej, a wśród występujących postaci można dopatrzeć się tych całkiem współczesnych. Ta część w zamyśle jest do bólu satyryczna i obśmiewająca amerykańską rzeczywistość. Mnie tylko zastanawia, skąd my to znamy tak dobrze, w osiem dekad po powstaniu tekstu w USA? I śmieszno i straszno!

Według mnie „Cud, że jeszcze żyjemy” jest spektaklem Barbary Wypych. Prawie przez cały czas jest na scenie. Wciela się niby w tę samą osobę, ale ze względu na zmiany następujące dookoła tworzy de facto trzy różne postacie i każda z nich jest wspaniała, a Wypych pokazuje te różnice między nimi, równocześnie pozostając cały czas tą samą osobą. Znakomita, niby ta sama, ale potrójna rola!

Bardzo ważnymi postaciami w sztuce są Pani Antrobus – Joanna Jeżewska i Pan Antrobus – Mariusz Jakus. Są małżeństwem od pięciu tysięcy (!) lat i tworzą związek na zasadzie przeciwieństw. Ona zwariowana na punkcie syneczka (starego chłopca – chuligana), ledwo tolerująca córkę i on, w sumie człowiek o dobrym sercu, ale w skórze wściekłego nosorożca, dla którego oczkiem w głowie jest dla odmiany córeczka.. Jakus w każdej z trzech części, wspaniale wciela się w siebie, każdorazowo zupełnie innego!

Jeszcze jedna postać przyciągnęła moją uwagę. To Wróżka grana przez Agnieszkę Suchorę. Znakomita gra aktorska i co równie istotne w znakomitej charakteryzacji.

Wspomniałem na wstępie o zadziwiającej aktualności tej sztuki, powstałej osiemdziesiąt lat temu. Na swoje nowe otwarcie, Teatr Współczesny nie mógł znaleźć bardziej współczesnego tekstu! Wpisuje się on w toczące się obecnie dyskusje na najbardziej istotne i żywotne tematy nie tylko dla naszego społeczeństwa, ale właściwie dla całej ludzkości. Realne zagrożenia klimatyczne, globalny problem emigracyjny, coraz bardziej groźne i rozlewające się konflikty zbrojne, bezstresowe wychowywanie dzieci, z równoczesnym preferowaniem jednego z nich i skutki takiego wychowywania. To nie jest mało i jest się nad czym zadumać.

Tego typu spektakli poruszających takie problemy powinno być jak najwięcej. Oczywiście przy założeniu, że nie będą miały formy zanudzających prelekcji, tylko będą przekazywać ważne treści opakowane w interesującą i zróżnicowaną formę. Tak jak premierowe dla nowej dyrekcji Teatru Współczesnego w Warszawie przedstawienie „Cud, że jeszcze żyjemy” Thorntona Wildera, w reżyserii Marcina Hyncnara.

Oprócz reżysera i zespołu aktorskiego, ogromną pracę wykonała tzw. technika, bo Martyna Kander przygotowała do każdej części trochę inną scenografię, podobnie jak Anna Adamek stworzyła trzy komplety znakomitych kostiumów. Niektórzy aktorzy i aktorki mają ich nawet więcej. Zdecydowanie wartość dodaną spektaklu stanowią również muzyka Mateusza Dębskiego i projekcje video Jagody Chalcińskiej.

Na koniec jeszcze jedna refleksja na kanwie tego przedstawienia. W tej sztuce, Wilder jasnowidzem był, to już wiemy. Ale nie do końca doskonałym. Chyba nie przewidział powstania komputerów, całej sieci internetowej, socjał mediów, czy telefonów komórkowych, czyli tych narzędzi, które mają czynić życie ludzkie lekkim, łatwym i przyjemnym. A ja mając świadomość istnienia tych udogodnień, przypominam sobie jak to było onegdaj, w dobie przed komputerowej. Jak ludzie funkcjonowali, spotykali się, umawiali? A jak działały firmy, organizacje, instytucje takie jak np. teatry? Ciekawe, w jaki sposób dwa wiodące teatry dawały radę porozumieć się aby nie doszło do sytuacji super prestiżowych premier tego samego dnia, o tej samej porze, w odległości siedmiuset metrów od siebie? Szkoda, że Wilder nie daje odpowiedzi na to pytanie, ale i tak warto pójść i zobaczyć „Cud, że jeszcze żyjemy”, bo znajdzie się tam Państwo sporo innych tematów do przemyślenia, ukazanych jak już wspomniałem w atrakcyjnej formie.



at nadesłany

Autor:

Krzysztof Stopczyk